

Ewa Stachniak: Caryca byłaby doskonałą celebrytką



Ewa Stachniak

Barbara Lekarczyk-Cisek: W powieści "Cesarzowa nocy" powraca Pani do swej bohaterki - Katarzyny Wielkiej. W żadnej z wcześniejszych książek nie poświęciła Pani bohaterce tyle uwagi. Co sprawiło, że tak się stało tym razem?

Ewa Stachniak: Od początku chciałam spojrzeć na carycę Wszechrusi z dwóch diametralnie różnych punktów widzenia. Katarzyna Wielka była skomplikowaną postacią. Ta jedna z najpotężniejszych monarchiń wszechczasów, kobieta pełna pasji, nie bojąca się wyzwań, była też emigrantką, żoną, kochanką, matką, której odebrano dzieci, a także kochającą wnuki babką. Jako władczyni była reformatorką,

kolekcjonerką dzieł sztuki, genialnym strategiem i politykiem. Miała charyzmę, potrafiła zjednywać sobie przyjaciół i zapewniać polityczne poparcie.

Od początku zdecydowałam, że najpierw opowiem historię jej dojścia do władzy i że spojrzę na nią z zewnątrz oczami zaufanej zauszniczki i szpiega, a potem dopiero oddam Katarzynie głos i pozwolę, by opowiedziała swoją własną historię. Mogłam wprawdzie zmieścić wszystko w jednej książce, jak np. zrobiła to Sarah Waters w „Złodziejce”, ale zdecydowałam się na dwie powieści, wprawdzie przystające do siebie, ale też odrębne, które można czytać niezależnie od siebie.

BLC: O ile w „Katarzynie Wielkiej” występowała bohaterka-narratorka imieniem Barbara, o tyle w „Cesarzowej nocy” narratorką jest sama Katarzyna. Jednocześnie wprowadza Pani precyzyjnie czas akcji, który jest zarazem bardzo rozciągliwy. Widzimy całe życie umierającego człowieka. Co daje taka perspektywa narracyjna?

ES: Daje możliwość pokazania historii Katarzyny w kontekście ostatnich dni i godzin jej życia, niespotykanego od wielu lat okresu, w którym absolutna władczyni straciła władzę nad wszystkim, nawet nad własnym ciałem. Nie jest już carycą, jest kobietą u progu śmierci, która wydobywa z zakamarków pamięci obrazy dawnych zdarzeń i obserwuje konsekwencje decyzji podjętych w młodości. Należą do nich np. toksyczne relacje z synem, które wkrótce zaowocują częściowym zniszczeniem jej idei Rosji. Nie może już nikim manipulować. Myśli o swoim życiu, wspomina – dla samej siebie. Wyrywkowo, podobnie jak i my pamiętamy naszą odległą przeszłość, i bardziej szczegółowo, gdy sięgamy pamięcią do wydarzeń ostatnich dni czy tygodni. Tak więc, kiedy Katarzyna wspomina intrygi pałacowe ostatniego w jej życiu lata, mamy okazję towarzyszyć jej w spotkaniach z wnukami, Faworytem, lekarzem, architektem, obserwować życie pałacu jej oczami ...

Chciałam dotrzeć do Katarzyny, która przestaje już być carycą Rosji i zrozumieć, co mogło być dla niej wtedy najważniejsze.

BLC: Ukazuje Pani Katarzynę w pozytywnym świetle. Dzięki Pani nie rażą nas jej liczne romanse czy bezwzględna polityka ekspansji, także kosztem Polski. W Pani powieści caryca jest pracowita, inteligentna, otwarta na mądrych doradców. Redaguje nawet zasady moralne, które świadczą o jej humanistycznym zarządzaniu ludźmi. Jednocześnie zaś przedstawia Pani polskiego króla Stanisława

Poniatowskiego jako człowieka słabego i bez charakteru, kompletnie od Katarzyny zależnego...

ES: Piszę powieść historyczną, a więc opieram się na źródłach, z których wyłania się taki właśnie obraz moich bohaterów. Katarzyna była najlepszą władczynią w historii Rosji. Była kobietą oświeconą, a przy tym pragmatyczną, świadomą swoich uwarunkowań. Diderotowi powiedziała: „Czego nie jestem w stanie obalić, to osłabiam.”

Uważała m.in., że zniesienie pańszczyzny może się udać jedynie po długiej kampanii, której podstawą będzie edukacja. Aby Rosją rządziły w przyszłości nowe elity – trzeba edukować nie tylko mężczyzn, ale też i kobiety, gdyż to one będą wychowywać potem swoje dzieci w duchu Oświecenia, według zasad XVIII-wiecznej wiedzy pedagogicznej. Tak też kształciła swoje wnuki. Od wczesnego dzieciństwa, od pierwszych zabaw. Nie pozwalała krępować ich działań, uczyła przez zabawę, zachęcała do pytań.

Natomiast z królem Stasiem miałam kłopoty. Muszę z góry zastrzec, że darzę go wielką sympatią. W „Katarzynie Wielkiej” miałam pole do popisu, aby dać temu wyraz, ponieważ przedstawiam go w okresie, gdy przybywa do Petersburga, jest młody, wrażliwy, mądry i zakochany. Pod koniec życia natomiast był już mężczyzną przegrany, pełnym goryczy, pozbawionym realnej oceny swojej sytuacji, a co za tym idzie – o wiele mniej pociągający. Z Grodna wysyłał do Katarzyny i jej dworzan setki listów z różnymi prośbami, częstokroć upokarzającymi dla siebie i nierealnymi. Powinien był przecież wiedzieć, że caryca Rosji nie może obalonemu i zdetronizowanemu królowi Polski pozwolić na wyjazd do Rzymu, gdzie jego obecność byłaby – za jego zgodą czy też bez niej – politycznie wykorzystana przeciwko niej. A prosił o to bezustannie. Był też od Katarzyny zależny finansowo, co – w moim odczuciu – pogłębiało tragizm jego sytuacji. Z jednej strony polityczne negocjacje, a z drugiej – finansowe sprawozdania i rachunki: tyle na służących, tyle na świece, tyle na wino i jedzenie.

BLC: Z jakich źródeł korzystała Pani, pisząc powieść?

ES: Zaczęłam od czytania wszystkiego, co wpadło mi w ręce: polskich i zachodnich biografii Katarzyny Wielkiej, podsumowań jej panowania, naukowych i

ogólnodostępnych artykułów dotyczących wszelkich aspektów jej życia, a także opisów śmierci, która nastąpiła w jej własnym łóżu, po dwudniowej walce o życie po wylewie krwi do mózgu, który spowodował paraliż.

Opierałam się też na pamiętnikach i listach Katarzyny Wielkiej do Potiomkina, Barona Grimma, Woltera. Przeczytałam bardzo uważnie pamiętniki Poniatowskiego, pamiętniki i memoriały polityczne Adama Czartoryskiego, który przyjechał na carski dwór dwa lata przed śmiercią Katarzyny. Zapoznałam się także z pamiętnikami Niemcewicza, który był w tym czasie więźniem Katarzyny, osadzonym w twierdzy pietropawłowskiej. Korzystałam także z prozy pamiętnikarskiej podróżników i polityków: ambasadorów brytyjskich i francuskich oraz irlandzkich gości księżnej Daszkowej.

Pamiętniki i listy Katarzyny są w tym kontekście szczególnie ciekawe. Była świadoma, że to, o czym pisze, stanie się publiczną własnością, budowała swój wizerunek, sprzedawała swoją interpretację historii. Myślę, że gdyby żyła współcześnie, byłaby doskonałą celebrytką, taką, która się nie odsłania, lecz kreuje.

BLC: Powieść jest tak barwna i pełna szczegółów obyczajowych, że czytając ją, ma się nieodparte wrażenia, że człowiek staje się częścią tego świata.

ES: Bardzo mnie to cieszy! Przygotowując się do pisania, miesiącami gromadzę przeróżne materiały źródłowe. Konkretny, dobrze dobrany szczegół zawsze przewyższa ogólnikowe określenie. Kiedy zaczynam pisać, mam już sporo historycznych „ściągawek” – gotowych autentycznych spostrzeżeń, faktów, opisów np. wystroju wnętrz, obyczajów, strojów... nie zawsze dotyczących samej Katarzyny Wielkiej, ale możliwych w jej świecie. Kiedy czytam, jak fryzowano włosy w XVIII wieku na dworze francuskim, domyślam się, że tak samo czesano moją bohaterkę, bo francuska moda obowiązywała wówczas wszystkie eleganckie kobiety. Tu muszę też podkreślić, że sama Katarzyna w swoich pamiętnikach barwnie odmalowuje obyczajowość dworu: wizytę dentysty, po której miała na policzku sińce od palców przytrzymujących jej głowę, pożaru pałacu, po którym całą klatkę schodową zajęły ewakuujące się myszy i szczury.

BLC: Nad czym Pani obecnie pracuje? Kim jest Pani kolejna bohaterka?

ES: Zaczęłam już pisać kolejną powieść, tym razem zainspirowaną życiem Bronisławy Niżyńskiej. Była młodszą siostrą słynnego na cały świat tancerza - Wacława, fenomenalną tancerką i uznanym choreografem. Na etacie choreografa pracowała w zespole Baletów Rosyjskich Diagilewa. Niżyńscy byli Polakami, choć urodzili się i wychowali w Rosji, a tworzyli głównie na Zachodzie. Bronisława ponadto spędziła lata 1915-1921 w Kijowie, gdzie jej modernistyczny balet był częścią rewolucyjnej awangardy.

Intryguje mnie w niej jej pasja tworzenia, jej determinacja, by być przede wszystkim artystką. Myślę dużo o jej relacji z Wacławem, o pozycji młodszej siostry utalentowanego brata.

Materiałów mi nie brakuje. Bronisława od 1939 roku do wczesnych lat 70. mieszkała w Kalifornii i całe jej archiwum spoczywa w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie: 160 pudeł zawierających listy, pamiętniki, zdjęcia, programy teatralne, plakaty, wycinki prasowe itd. Spędziłam w Waszyngtonie sporo czasu, notując jak najwięcej szczegółów. Pozwolą mi one na oddanie jej świata, choć i tym razem nie piszę biografii, lecz powieść.

<http://kulturaonline.pl/>

Cesarzowa nocy: władczyni i kobieta wielkiego formatu



Barbara Lekarczyk-Cisek

Interesujący epicki portret kobiety o silnej osobowości, inteligentnej i konsekwentnej.

Podobnie jak poprzednia powieść: "Katarzyna Wielka. Gra o władzę", książka Ewy Stachniak poświęcona jest carycy Katarzynie II. Inny jest jednak czas fabularny, a także perspektywa narracyjna utworu. Sprawia, że patrzymy na życie władczyni jej oczami. Oczami osoby, która w obliczu śmierci robi swoisty rachunek zysków i strat, niczego już nie udając.

"Cesarzowa nocy" jest interesującym epickim portretem kobiety o silnej osobowości, inteligentnej i konsekwentnej. Pisarka, korzystając z różnych źródeł, m.in. z "Pamiętników cesarzowej Katarzyny II przez nią samą spisanych", podejmuje próbę stworzenia literackiego portretu władczyni, wchodząc niejako w skórę swej bohaterki - oddając jej głos. Toteż caryca Katarzyna Ewy Stachniak nie jest wcale tą stereotypową okrutną władczynią, która odmalowywana była przez wrogów jako *największa ladacznica Europy. Lubieżna. Plugawa. Nienasycona. (...) Kiedy inni to robią, to cnota. Kiedy ja to robię, to grzech* - powiada sarkastycznie monarchini. *Oni są ambitni. Ona jest żądna chwały. Oni są zręczni. Ona przebiegła. Oni są*

walecznymi królami, zdobywcami, bohaterami. Ona to Meduza, wampirzyca, wiedźma. I konkluduje – Z oszczerstwem nie da się dyskutować.

Pisarka w swojej wcześniejszej powieści, w której narratorką jest bliska i zaufana przyjaciółka młodej Zofii von Anhalt-Zerbst, Barbara, ukazuje dwór cesarski jako miejsce intryg, w którym łatwo przepaść, jeśli nie przyjmie się obowiązujących reguł gry. Zofia nie tylko je przyjmuje, ale staje się wytrawnym graczem i wygrywa najwyższą stawkę, stając się carycą Katarzyną II. W ciągu swego długiego panowania uczyni bardzo wiele, zarówno w dziedzinie stosunków zagranicznych, jak i wewnętrznych, dla wzmocnienia potęgi państwa, władzy centralnej i absolutyzmu panującego. W okresie jej rządów terytorium Rosji znacznie się powiększa. Jest wytrawnym politykiem, a jednocześnie kobietą pełną temperamentu, pragnącą miłości.

Ewa Stachniak ukazuje w swojej najnowszej powieści ostatek chwile bohaterki, która spogląda na swoje życie w perspektywie śmierci. Rozczarowana nieudanym synem Pawłem, lokuje swoje nadzieje we wnukach. Poświęca im zresztą wiele uwagi od początku, starając się zapewnić właściwe wykształcenie, w duchu oświeceniowym. Sama sprowadza i czyta wartościową literaturę: Monteskiusza, Locke`a, Beccaria, Woltera. Otacza się dziełami sztuki, organizuje teatr w Ermitażu, gdzie jej wnuki mogą wystawiać własne sztuki. Próbuje zaprowadzić moralny ład i sprawiedliwość, spisując "Nakaz". Kiedy się go czyta, brzmi zdumiewająco współcześnie, humanistycznie:

Lepiej zapobiegać przestępstwom, niż karać. Słowa nie mogą podlegać karze, jeśli nie towarzyszą im czyny. Cenzura nie prowadzi do niczego prócz niewiedzy. Każdy obywatel pragnie dla swojego kraju szczęścia, chwały i bezpieczeństwa. Prawa powinny chronić, nie zaś uciskać. Władca rządzi sam, jest jednak poddany pewnym fundamentalnym prawom, uświęconym przez tradycje i obyczaje.

Katarzyna Wielka w powieści Ewy Stachniak jest w istocie władczynią i kobietą wielkiego formatu: mądrą, wrażliwą, stanowczą i konsekwentną, wymagającą od siebie i od innych.

Ponieważ mamy do czynienia z powieścią, a nie z dokumentem, pisarka nasycy narrację psychologią, która pozwala lepiej zrozumieć postępowanie bohaterki,

poznajemy bowiem jej najgłębsze myśli, których publicznie nie wypowiada, nie ufając do końca nikomu. Istotne i bardzo wartościowe jest także nasycenie powieści kolorytem lokalnym - rosyjskimi obyczajami i realiami historycznymi. Dzięki powieści wiemy, jak wyglądał dzień na cesarskim dworze, jak się ubierano przy różnych okazjach, jakie potrawy podawano szczególnym gościom, jak spędzano czas, a także na co chorowano i jak się leczono.

I jest też obecny wątek refleksji dotyczącej starości i umierania, który - podobnie jak potrzeba kochania i bycia kochanym - odnosi się wszak nie tylko do tytułowej bohaterki, ale do każdego człowieka.

Starość bierze nas z zaskoczenia. Czy to dlatego, że to jedyny okres w życiu, po którym już nic nie ma? Nikomu nigdy nie udało się spojrzeć na własną starość wstecz, z dystansu. Wiek nie zamienia nas w mędrców, lubi rozważać Katarzyna, tylko w starych mężczyzn i kobiety, niepewnych, dokąd zmierzają. Właśnie dlatego chce się otaczać młodymi. Pełnymi życia, elastycznymi, podatnymi na wpływy. Przyszłością rasy ludzkiej. W ich duszach widać jeszcze kolor.

Powieść ma dobrą, wartką narrację, która przenosi czytelnika w czasy słynnej imperatorowej Rosji, które stają się znajome i zrozumiałe. Jednocześnie zaś następuje proces uwspółcześnienia bohaterów, którzy ze swymi problemami i namiętnościami przypominają nas samych.

Książka Ewy Stachniak "Cesarzowa nocy. Historia Katarzyny Wielkiej" ukazała się w Między Słowami, Społecznym Instytucie Wydawniczym Znak, w 2014 r. w autoryzowanym tłumaczeniu z języka angielskiego Niny Dzierżawskiej.

<http://kulturaonline.pl/>

Konieczne kłamstwa (fragm.)



Montreal

Ewa Stachniak

Przełożył Zbigniew Stachniak

Część I: Montreal 1981

Piotr powiedziałby, że Anna zdradziła Polskę już wtedy.

Nie miałby na myśli tego, że zauroczyła się komfortem Kanady, przepastnymi supermarketami przepełnionymi jedzeniem, błyszczącymi światłami montrealskich biurowców, które z taką dokładnością opisywała mu w swoich listach. Nie chodziłoby mu nawet o to, z jaką łatwością zachwycała się nawet najdrobniejszymi błahostkami. Życzliwym uśmiechem mijanych na ulicy nieznanym. Samochodami zatrzymującymi się na przejściach dla pieszych. Wypielęgnowanymi trawnikami nawilżanymi szemrzącymi kaskadami wody. Mężczyzną na ulicy Sherbrooke, który

pochylił się by sprzątnąć po swoim psie.

Piotr powiedziałby Annie, że symptomy jej zdrady były o wiele bardziej wyraźne i daleko bardziej niepokojące. Powiedziałby, że pozwoliła, by strach zakradł się w jej serce. I miałby rację.

To, że Anna znalazła się w Montrealu było czystym przypadkiem. W Polsce uczyła literatury angielskiej na wrocławskiej anglistyce. Starła się o stypendium do Anglii, chciała studiować literaturę emigracyjną, ale jej podanie ugrzęzło w kolejce. Kanadyjskie stypendium było niespodziewanym darem losu.

—Będzie Pani musiała wyjechać pod koniec sierpnia—powiedziała sekretarka dziekana, która niespodziewanie zadzwoniła do Anny późnym wieczorem. —Oni zaczynają rok akademicki we wrześniu.

Piotr obserwował Annę siedząc w fotelu, z uniesionymi brwiami. Rozłożyła ręce, w geście pełnym zaskoczenia.

—Ktoś coś pokręcił—usłyszała w słuchawce. —Dostaliśmy pilny telefon z Ambasady kanadyjskiej. Potrzebują kogoś z humanistyki. Na wczoraj. Chce Pani jechać?

—Chcę—powiedziała.

Sześć miesięcy w dobrej bibliotece było kuszące. —Jakiegokolwiek dobrej bibliotece—powiedziała do Piotra, który przyciągnął ją ku sobie. Czula jego palce drążące tunele w jej gęstych włosach, pieszczące jej szyję, ramiona. Anna w milczeniu rozważała argumenty. Choć miała dwadzieścia osiem lat, nigdy w życiu nie była na Zachodzie. Nawet gdyby udało jej się zaoszczędzić tylko sto dolarów, to i tak byłoby to więcej niż jej całoroczna pensja. No i ta zwykła potrzeba odpoczynku, kilka miesięcy oderwania się od rzeczywistości kolejek, strajków, protestów. A poza tym to tylko pół roku, w lutym przecież będzie z powrotem we Wrocławiu. Zdąży na początek drugiego semestru.

Piotr szeptał jej imię. —Jedź—szeptał. —Jedź. Krawędź fotela uciskała jej biodro. Dotyk ust Piotra łaskotał, rozśmieszał. Będzie po prostu za nią tęsknił. To wszystko.

—A może pojedziesz ze mną—spytała, wiedząc dobrze, co odpowie. —Teraz? Kiedy

wszystko miało się rozstrzygnąć? Gdy los Polski wisi na włosku.

[Strony: 31-33. Anna w Montrealu. Spotkanie z Williamem.]

U wejścia do holu Klubu uniwersyteckiego McGill, wyłożonego drewnianą boazerią, dostała naklejkę z napisem: Anna Nowicka, Polska. Gość Wydziału Anglistyki Uniwersytetu McGill. Uczucie niepewności wyparowało bez śladu. Zdziwiła ją łatwość, z jaką nawiązywano rozmowy. "Pomyślałem, że mógłbym do Pani podejść i przywitać się," wystarczyło w zupełności.

—Niestety, mój mąż nie mógł ze mną przyjechać—odpowiadała na częste zapytanie. Uzyskanie dwóch paszportów byłoby raczej trudne, a, co ważniejsze, Piotr nie mógł tak po prostu wyjechać. Wykładał prawo cywilne na uniwersytecie wrocławskim. Był doradcą prawnym lokalnego oddziału Solidarności. Oczywiście jej wyjazd bez niego nie był najlepszym rozwiązaniem, ale cóż innego pozostawało.

—Dziewczyna z Breslau! —To był głos Williama, głos pełen zachwytu. —Z jakiego miasta Pani przyjechała?—zapytał. —Z Wrocławia—odpowiedziała, przygotowana na konieczność wyjaśniania przesuniętych granic powojennej Europy, historię ziem utraconych i odzyskanych, historię, w której niemieckie miasto stało się polskim. Ale William nie prosił o wyjaśnienia.

—Dziewczyna z Breslau—powtórzył. —Co za zbieg okoliczności!

—Z W r o c ł a w i a—zaprotestowałyby jej mama, każda sylaba jak rytmiczne uderzenie w bęben. W R O - C Ł A W. Tak by to właśnie powiedziała. WRO - CŁAW, jej twarz zastygła w grymasie nieufności.

William zmrużył oczy z zadowolenia. Uśmiechnął się. Miał na sobie czarny golf, na nim rozpiętą koszulę. Żółte i czerwone plamy kolorów splatały się na niej jak wirujące wstążki zręcznie manipulowane ręką zonglera. Patrząc na jego równo przyciętą brodę myślała o piórach jakiegoś rzadkiego, srebrnego ptaka. William przyniósł jej lampkę wina. Anna czuła jak kształt nóżki kieliszka odciska się na jej palcach.

Wiedziała, że mu się podoba, widziała to w jego niebieskich oczach, w jego uśmiechu, potęgującym się nienasyceniu widokiem jej loków, każdym ruchem jej

głowy. Jak gdyby z każdym najprostszym gestem udawało jej się osiągnąć coś naprawdę niezwykłego. Coś wyjątkowego, czego nikt inny, nigdy przedtem, nie osiągnął.

—A więc Pan wie gdzie to jest—zapytała, odgarniając włosy spadające jej na twarz.

Dnie były nadal upalne. Anna miała na sobie luźną sukienkę, którą kupiła w hinduskim sklepie na ulicy St. Laurent. Czarna bawełna, z fioletowymi plamami w kształcie spadających liści.

—Dziwi to Panią?

—Tak.

—Urodziłem się tam—powiedział. —Oczywiście wtedy był to jeszcze Breslau. Tak więc, w rzeczywistości, pochodzimy z tego samego miasta.

Bawiła się koralikami, które wplotła tego dnia we włosy, obracając je w palcach i puszczając. Myślała o swojej starej fotografii: drobna dziewczęca postać, biała sukienka, aureola jasnych włosów.

Na tym starym, czarno-białym zdjęciu trzyma rękę mamy. Za nimi ruiny Wrocławia; zwały gruzu wysypujące się na ulicę. Stosy cegieł, niektóre nadal zespolone zaprawą, strzaskane płyty betonu i granitu. Morze ruin otaczające wysepki stojących jeszcze domów. Powykręcane sterczące pręty w betonowych blokach, w byłych fundamentach. Spękane mury domów z obnażoną trzcinową siatką, jak z zastygłymi żyłami pod martwą skórą. Wypatroszone domy z wypalonymi ścianami, z wyraźnymi bliznami po nie istniejących już balkonach. Odsłonięte wnętrza byłych pokoi—salonów, sypialni, gabinetów—zdradzały teraz gusty byłych mieszkańców, mozaiki zieleni i błękitu, tapety lub malowane ściany. Ulice poryte wybuchami. Leje po bombach z koronami uwieńczonymi uliczną kostką i spękanymi, granitowymi płytami chodników. Ulice prowadzące do nie istniejących osiedli, gładkie stalowe szyny tramwajowe wiodące w ruiny zarośnięte trawą i chwastami.

—To jeszcze nic takiego—wspominali rodzice Anny. W 1945 roku, tuż po ich przyjeździe do Wrocławia, bali się przechodzić obok opuszczonych domów, obok ruin i popiołu. Miasto było puste, tak przeraźliwie puste, że widok dziecka idącego ulicą

napełniał im oczy łzami. Wrocławskie dzieci, pierwsza, niepewna zapowiedź stabilizacji. Kiedy Anna się urodziła, zabytkowe kamieniczki wrocławskiego Rynku były już odbudowane, ich fasady pomalowane na biało, beżowo i jasno-żółto. Kiedy Anna była już na tyle duża, że rodzice mogli ją zabrać na dłuższe spacerunki wokół gotyckiego Ratusza z jaskrawo pomalowanym zegarem słonecznym lub na Ostrów Tumski wzdłuż katedry z majestatycznymi wieżami, można było niemal uwierzyć, że wojna przeszła gdzieś obok.

....

[Anna zakochuje się w Williamie, z wzajemnością. Postanawia odejść od Piotra, zostać w Kanadzie i rozpocząć nowe życie. Dzwoni do niego na początku grudnia, raniąc go boleśnie. W kilka dni po tej rozmowie, w Polsce wprowadzony jest stan wojenny. Piotr jest internowany. Mimo wahań Anna rozwodzi się z Piotrem i wychodzi za mąż za Williama.]

Część II: Montreal 1991

[Dziesięć lat później. William umiera nagle na zawał serca. Anna idzie do jego biura na montrealu uniwersytecie McGill, by uporządkować pozostałe po mężu papiery.]

str. 96-104.

W teczce "Osobiste" Anna znajduje grubą, zaklejoną kopertę. Rozrywa ją. Z koperty wysypują się na biurko listy, kartki pocztowe i fotografie. Na tych fotografiach, robionych w krótkich odstępach czasu, wyraz twarzy Williama zmienia się od tego charakterystycznego dla niego zamyślenia do uśmiechu. Ubrany w czarny golf i brązową marynarkę z tweedu, którą Anna tak zawsze lubiła, pochyla się do przodu, jak gdyby starał się przekonać kogoś o czymś niezmiernie ważnym. Na ostatniej fotografii srebrny lok włosów opada mu na czoło, zatrzymana chwila, po której ten lok może jedynie odgarnąć.

Kartka z Baden-Baden—stara, słodka widokówka, wieńce z kwiatów. Z radośnie bijących dzwonów wylewają się nuty. Pismo jest trudne do odczytania, litery wysokie i ściśnięte. Mija kilka chwil zanim Anna wyłowi sens w tych ostrych liniach pisma,

odróżni jedno słowo od drugiego. *L'absence est à l'amour ce qu'est au feu le vent, il éteant le petit il allume le grand.* Podpisane: Urszula.

Otwiera małą niebieską kopertę i wyciąga z niej złożoną kartkę papieru. Jej serce zamiera na moment by ruszyć gwałtownie, tłocząc pospiesznie krew do twarzy. Papier drży w jej rękach.

Kochanie. Tak pusto tu bez ciebie. Echo dzwoni w pokojach, odbija moje kroki, ale Twój głos dociera do mnie zewsząd. Udaję, że wyszedłeś na chwilę i że zaraz wrócisz, jak dobry mąż, który wyjechał w krótką podróż. Czuję się Twoją żoną w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Czegoż więcej nam potrzeba? Urszula

Kolejna kartka papieru, złożona we czworo szeleści, gdy ją otwiera. Bez daty.

Przyjechałam późno. Mieszkanie zimne i ciemne, bo przed wyjazdem obniżyłam termostat. Moja pruska oszczędność, skąpstwo mojej duszy. Wczołgałam się do łóżka myśląc o Tobie. Dziś nie chcę z nikim rozmawiać, bo zagłuszyłabym Twój głos. Urs.

Niech więc będzie Londyn. Zjemy kolację w Hotelu Durrants, a potem przejdziemy się George Street i będziemy się całować. Musisz mnie zdobywać. Proszę o wstążkę i grzebień. I zabierz mnie do muzeum figur woskowych, gdzie będziemy śmiać się w nieruchome twarze. Będziemy się kochać i pić okropnie mocną herbatę (oczywiście najpierw wlewając mleko) i będziemy tak brytyjscy jak tylko Niemcy mogą tego pragnąć.

Anna siada, nogi nie są w stanie utrzymać ciężaru jej ciała. Wyczuwa czyjąś obecność, czyjś dotyk na ramieniu. Obraca głowę, ale widzi tylko puste półki, które przed chwilą opróżniła z książek. Nie ma na nich nic poza szarym kurzem. To nieprawda, próbuje przekonać samą siebie. To nie może być prawdą.

—Tylko na kilka dni—pamięta jego słowa. — Muszę być sam. Rozumiesz mnie, kochana? Stała w drzwiach i patrzyła jak pakował brązową skórzaną walizkę. Beżowe sztruksowe spodnie ułożone płasko na dnie, tuż obok starannie zrolowane skarpety. Szetlandzkie swetry złożone w równe kwadraty, puste rękawy wsunięte do środka. Patrzyła, jak zamykał małą saszetkę pachnącą sandałowym drzewem.

—“Bądźcie razem, ale nie zbyt blisko siebie, jak dwie kolumny podtrzymujące kopułę

świętyni” — powiedział kiedyś. Sentencja z “Proroka”, jeden z prezentów, jakim ją obdarzył, maksymy lat sześćdziesiątych. Nie odwiozła go. William nie znosił lotniskowych rozstań. Wolał pożegnać się w domu, a ona starała się nie obejmować go zbyt długo, udając zniecierpliwienie, aby ukryć ból. Nie mogła sobie pozwolić na gniew. Na to, by wylał się z niej, wykipiał. —Dzięki Bogu nie jesteś taka jak Marilyn— powiedział jej kiedyś. Zapamiętała każde słowo, którym określał swoją byłą żonę. —Nie ma w Tobie nic z jej mściwości.

Już wtedy myślał o chwili, gdy do niej wróci, wsuwał rękę pod jej sweter, obejmował ją i przyciągał do siebie. —Zadzwoń—szeptał jej do ucha.

Dzwonił. Z Frankfurtu, Berlina, Monachium, jego głos pełen radości i troski o nią. —Tęsknisz za mną, kochana?—pytał. Odpowiadała ze śmiechem, radością. —Rozumiesz mnie, prawda? —Ufała, że rzeczywiście potrzebował kilku dni samotności. Czy naprawdę wierzył, że zaakceptowałaby zdradę? Nie, to niemożliwe. Nie William. To wszystko nie ma żadnego sensu. Nie ma prawa go podejrzewać.

Dziś skończyłam “Twarze kobiet”. Wszystkie zdjęcia są czarno białe. Kolor zacierał tylko te śmiertelne transformacje, które chciałam uchwycić. Nie musisz się niepokoić, kochanie, moje obsesje nie są aż tak łatwe do rozszyfrowania. Nazistki są obecne jedynie duszą, w spojrzeniach pełnych poddania, fanatyzmu i samozniszczenia. Te twarze są wszędzie. Wystarczyło kilka wieczorów w berlińskich barach. Lothar nic nie powiedział, tylko objął mnie mocno. To była najlepsza recenzja, jaką dostałam. Po wystawie, idę Ku-damem, wciąż patrząc na twarze. Hałaśliwe Disco wylewa się ze sklepów na ulicę. Młode dziewczyny noszą obcisłe bluzki i džinsy, balansując na wysokich koturnach. Nastolatki mają donośne głosy i odważne spojrzenia. Ja, jak zwykle w takich momentach, jestem pusta i obolała. Zbyt łatwo zajmuję się głupstwami, poddaję się chwilom bez znaczenia.

Anna zdejmuje okulary i zamyka oczy. Powieki bolą i swędzą, jak gdyby posiekane tysiącem drobnych, niewidocznych spękań. Wie, że ból można tylko przeczekać. Ale palce nadal trą nabrzmiałe powieki, aż do łez, aż na wilgotnych palcach pojawiają się wydarte rzęsy. Kiedy wreszcie otwiera oczy, ściany zatraciły swoją geometrię, stały się widmem kolorów, sufit—białą jednolitą przestrzeń, bez skazy, bez końca.

Kochany! Nie! Żadnych żalów. Żadnych! Budzę się wieczorami i oglądam przez okno

światła Berlina, udaję, że jesteś tu ze mną. Chce mi się morza—zimnego, zielonego, pachnącego wodorostami i mokrym drewnem. Pragnę ucieczki od tej ciągłej gorączki. Mówisz mi, że zapominam o rzeczach istotnych, zastępując je ekstazą i rozpaczą. Słucham Cię. Czasami. U.

Twarz Anny jest rozpalona. Przykłada ręce do rozognionych policzków. Coś musi się teraz wydarzyć, jakieś konieczne następstwo tych odkryć, coś, co je wyjaśni i uwolni ją od nich. Na korytarzu słysząc odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, czyjś głos wznoszący się i gwałtownie opadający, uciszony, nagle ucięty. —Tak, tak—słyszysz. —Bardzo mi przykro— Anna uświadamia sobie, że Valerie musiała wkładać te listy do skrzynki pocztowej Williama; przez lata musiała obserwować jak wyciągał je z niecierpliwością i spieszył do swojego biura by je tam otworzyć.

Wstaje i robi kilka kroków. To niesprawiedliwe, myśli. Nie teraz. Nie teraz, gdy William nie żyje, gdy nie może nic wyjaśnić. Ponownie siada przy biurku.

Kochanie. Twój głos brzmiał smutno i tak jakoś błagalnie. Przepraszam, że miałam tak mało czasu. Zadzwoiłeś w trakcie sesji. Próbowalam oddzwonić później, ale wyszedłeś już z biura. Nie, nie jest mi wcale łatwiej. To, że akurat ja to powiedziałam wcale nie znaczy, że to jest tylko i wyłącznie moja decyzja. Istnieje historyczny dowód na to, że będąc razem skończylibyśmy rzucając się sobie do gardeł, że splotęlibyśmy w nienawiści, więc nie próbuj zmienić mojego postanowienia. Być może pojawię się w Montrealu w przyszłym miesiącu, chciałabym sfotografować twarze podczas waszych kanadyjskich narodowych parad, progres quebeckiego Referendum, więc nie dąsaj się na mnie zbyt długo. Powiedz mi raczej, co Twój wspaniały, niewinny kraj zrobi, gdy się zacznie rozpadać na kawałki. “Je me souviens?” Czyż nie te słowa widnieją na tablicach rejestracyjnych Waszych samochodów?

Referendum w Quebec. To na długo przed jej przyjazdem do Kanady. Oczywiście! Te listy były pisane zanim jeszcze poznała Williama. Okruchy czasu, do których Anna nie ma żadnych praw. William miał kochankę, wnioskuje Anna, kiedy był jeszcze żonaty z Marilyn. Nie powiedział jej o tym. Nie chciał, by myślała, że jest zdolny do zdrady. To przemilczenie jest bolesne, ale w gruncie rzeczy zupełnie zrozumiałe, można nawet pomyśleć, że jest pewną formą dyskrecji. Ona też nie opowiadała mu aż

tak dużo o Piotrze.

Październik, 1979. Czerni jest jak trucizna, wysysa kolor, a ja poddaję się jej powoli. Najpierw odpływa nadzieja, potem opuszcza mnie energia. Siedzę i patrzę na ściany pokoju, czekając aż ten stan mnie opuści. Czekam aż dzięki boskiej pomocy nastanie nowy początek, któremu się poddam, aby powstać i zacząć od nowa.

Do niektórych listów doklejone są artykuły wycięte z magazynów. Złożone, pożółkłe na brzegach. Po niemiecku, po angielsku. Anna odkłada je na bok, z niecierpliwością. Będzie dosyć czasu, by je przeczytać. Teraz potrzebuje potwierdzenia.

Styczeń 1980. Nie, nie było tak źle. Mała potyczka między twórczością a zwątpieniem. Nie masz powodu do obaw. Zanurzam się w takie dni bez oporów i wynurzam się silniejsza. Niebo ma kolor szafiru, a wiatr wciska się w pory skóry. Wślizgnęłam się do tego małego kościołka, tuż za rogiem. Futra pachniały kamforą, słuchałam pastora, który miał złoty ząb i z lekka seplenił. "Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków." Niewiele nadziei na zmiany, nicht wahr? Dziś obudziłam się pełna postanowień. Jak więźniowi, wystarczy mi łyżeczka do herbaty do kopania tunelu. Jak się uda, pozbędę się wykopanej ziemi, piasku i kamieni.

Marzec 1980. Przeszłam dziś wzdłuż Muru. Po wschodniej stronie drzwi i okna mieszkań wychodzących na Zachód są zaślepienie. Berlin to przecież podzielone miasto; a nasze niemieckie metafory są solidne, z uzbrojonego betonu. Strażnicy po wschodniej stronie gotowi są strzelać i zabijać. Odważni nadal kopią tunele, uciekają kulom. Ci, którym uda się dotrzeć na naszą stronę, a czasami widzę ich w naszych barach, zapijają się do nieprzytomności, rzucają oskarżenia prosto w nasze twarze. Dla nich jesteśmy zimni, niewrażliwi, i naiwni. I nic nie rozumiemy.

Anna sprawdza pieczętki pocztowe, wiele listów nie ma daty. Przypomina sobie, że William trzymał szkło powiększające w jednej z szuflad biurka. Jest tam jeszcze, w czarnym skórzanym futerale. Przypatruje się uważnie zamazanym cyfrom. 1980, 1977. Luki w korespondencji, ale to tylko złudzenie, bo brakujące listy się odnajdują, przemieszczone jedynie, niezauważone. William znał Urszulę od wielu lat.

—Fotograf z Berlina, znajoma—powiedział kiedyś. Przez całe miesiące "fotograf" nie miał imienia, a Anna nie zapytała.

Podczas innej rozmowy padło imię, Urszula. Wspomniał je któryś ze znajomych Williama. Chyba Malkolm. Zapytał o przyjaciółkę—fotografa z Berlina. –Masz na myśli Urszulę? —zapytał William. —Kogo? —powiedziała Anna, a on powtórzył—Urszulę, no przecież wiesz, ta znajoma z Berlina, o której ci wspominałem.

W jego głosie wyczuła lekkie drżenie. Znak, że dźwięk jej imienia sprawiał mu przyjemność.

—Zupełnie zwariowana—dodał. —Nie potrafi się oszczędzać.

Wiele z tych listów pisanych jest ręcznie. Anna rozszyfrowuje je powoli, porównując kształty liter, zgadując słowa. *Życie jest zbyt krótkie by trawić je na małostki* - czyta. *Kocham Cię naprawdę, mimo że jesteś taki niecierpliwy.* - Czyta teraz pobieżnie, szukając zmiany tonu, oznak gasnącej miłości zamieniającej się w przyjaźń.

Wrzesień 1981. William, co się dzieje z naszą miłością? Osłabia mnie, ulizuje. Snuję się dniami z uśmiechem samozadowolenia i wszędzie widzę Twoją twarz. Łapię się na tym, że powtarzam Twoje słowa. Podśpiewuję, podskakuję z radości. Nie wpadaj zaraz w samouwielbienie. To widok raczej żałosny. Właśnie dlatego proszę Cię, byś nie przyjeżdżał. Nie gniewaj się. Nie stracisz mnie nigdy. Po prostu pozwól mi poodychać przez chwilę, a będę Cię za to kochać jeszcze bardziej.

Październik 1981. To nasze dusze, kochany. Nie mogą zapomnieć tych innych możliwych żywotów, których mogłyby doświadczyć. Przeraża mnie jak wiele musimy odrzucić, aby dokonać wyboru.

Październik 1981, Polka i emigrantka, William? Czyżby jeszcze jeden z Twoich gestów zadośćuczynienia?

Ból wargi. Dopiero po chwili Anna uświadamia sobie, że to jej zęby wbiły się głęboko w wargę, przecinając skórę. Na palcach, którymi przed chwilą dotknęła ust ślady krwi. Przez dłuższą chwilę patrzy na poplamione palce, zanim je wytrze. Tłumaczenia nie mają już sensu. —Idiotka—mówi na głos. —Skończona idiotka!

Słyszy głos matki. —Czego oczekiwałaś? Od Niemca?

Każda data na liście jest jak smagnięcie biczem. —Do samego końca—Anna powtarza, z niedowierzaniem. —Do samego końca.

Maj 1987. Nigdy nie obiecywałam, że będę wierna, i nigdy nie dopraszałam się o Twoją niepodzielną uwagę. Wiem dobrze, że nigdy nie przyznasz się do zazdrości. Jak zwykle będziesz się dąsał i będziesz starał się mnie ukarać tymi swoimi śmiesznymi gierkami. Och, jak mogę sobie pozwolić na taką bezpośredniość. Przepraszam! Biedny mały Willi. Czyżbym raniła Twoją wrażliwość? Nie wierzę w sekrety i nigdy nie ukrywałam Twojego istnienia przed nikim w moim życiu. To Ty udajesz, że przeszłość można oddzielić od przyszłości, a ja Ci na to pozwalałam. Daj mi więc spokój i oszczędź mi tych swoich kazań.

Marzec 1989. Nie gniewaj się. Obudziłam się dziś w tragicznym nastroju, pełna rozpaczy. Popatrzyłam na moje ostatnie zdjęcia. Są do niczego. Fałszywe, wymuszone. Zbyt naiwne, zbyt czyste. Okropność! Dobra fotografia jest jak przepowiednia, czyż nie tak? Powinna uchwycić coś z przyszłości, więc trzeba się spieszyć, bo czas zbyt łatwo zamienia takie przepowiednie w banał. Więc spieszę się jak głupia, gonię za każdą intuicją.

Styczeń 1990. Kiedy wracałam do Berlina, widziałam wschód słońca. Rozciągał się po niebie, różowy i czerwony i złoty. "Wstążka po wstążce." Pamiętasz kochany? Może masz rację, może nie jestem aż taka silna jak mi się wydaje. Zadzwoiłam do Lothara. Przyszedł i pozwolił mi mówić o Tobie, bez końca. Zrobił mi herbatę i skończyliśmy tę butelkę brandy, którą zostawiłeś. Nie byłam w stanie wypić jej sama.

Listopad 1990. Więc to już za tydzień. W Monachium. Na mojej mapie świata zaznaczam czerwoną flagą wszystkie te miasta, w których spotykaliśmy się. Zaułki miłości. Mapa jest całkiem czerwona. Trzy noce i trzy dni. Nie mogę się doczekać.

Anna otwiera koperty, białe, niebieskie, różowe. W niektórych znajduje zasuszone kwiaty, które kruszą się pod jej palcami. Są też kawałki płótna, drobne drzazgi poszarzałego drewna. Po krótkich notkach następują długie listy, wycinki z gazet, całe strony z zakreślonymi przez Urszulę miejscami, upstrzone wykrzyknikami. Większość listów nadanych w Niemczech. *Mit Luftpost*, informują niebieskie naklejki, przez *Deutsche Bundespost*, ale są też listy pisane na szaroniebieskiej papeterii Hotelu Intercontinental w Genewie, z jej dwujęzycznym ostrzeżeniem:

L'expéditeur de cette lettre n'engage pas la responsabilité de l'hôtel. Hotel nie bierze odpowiedzialności za treść listu. Anna nie zważa już na chronologię listów, wybiera je losowo, małe skrawki miłości, którą William tak dobrze przed nią ukrywał.

Mama przyjechała na kilka dni i oświadczyła, że muszę jej pozwolić wyremontować moją łazienkę. Kurki ciekły a ona westchnęła w ten swój śmieszny sposób. —Moja kochana córeczka! Niepraktyczna, nieodpowiedzialna, podstrzelona. Pije i pali bez umiaru. Kocha bez umiaru. Nie oszczędza się. Za dużo oddaje innym.

Powiedziałam, że może zrobić, co zechce z tą moją łazienką — co za błąd! Pojechałam na kilka dni do Paryża, a po powrocie zastałam ten różowiutki cud. Umywalka i wanna są w kształcie odwróconych muszli. Jedna ściana to olbrzymie lustro, druga pokryta różowymi kafelkami — na co szesnastym, białe muszelki. Policzyłam, więc wiem. Podłoga jest biała, beznadziejny pomysł, bo widać na niej każdy włos. Kupiła mi też całą stertę różowych i białych ręczników, grubych i miękkich. Tylko kurki są ciekawe. Styl Bauhaus, mosiądz, miłe w dotyku. Spodobają Ci się. Mama odjechała bardzo z siebie zadowolona, a ja, w grzesznym upojeniu, nalałam tych jej truskawkowych, kąpielowych płynów do wanny-muszli i moczyłam się tak długo, aż opuszki palców przypominały suszone śliwki. Próbowalam do Ciebie zadzwonić, ale już poszedłeś do domu, więc zamiast rozmowy marzyłam o Tobie.

Kochany! Nasza miłość jest tylko dlatego taka silna, że jesteśmy daleko od siebie i że zachowujemy dla siebie tylko to, co jest w nas najlepsze. Spotykamy się pełni tęsknoty, rozstajemy się zanim się nasycimy, zanim dopadnie nas zniecierpliwienie. Kiedy wracam do domu, dziękuję bogom za ciebie i wstrzymuję oddech, aby niczego nie zepsuć. A Ty? Ty starasz się wyobrazić sobie, do jakich granic mogliśmy dojść, czym mogłoby być nasze wspólne życie. Ja nie jestem taka odważna. Urs.

Anna zrywa się tak gwałtownie, że przewraca dębowe krzesło. Valerie, sekretarka Williama, musiała usłyszeć hałas za ścianą, bo puka do drzwi. —Wszystko w porządku? —pyta, jej głos pełny zaniepokojenia.

—Tak, wszystko w porządku—odpowiada Anna. —To tylko krzesło. Ja... przewróciło się na podłogę.

Otwiera drzwi i nawet udaje jej się wywołać lekki uśmiech na twarzy. —Nic takiego,

powtarza, to tylko krzesło.

—Jestem tuż obok, gdyby mnie pani potrzebowała, Pani Anno. Valerie uśmiecha się i Anna wie, że ją uspokoila.

—Bardzo dziękuję. — Zamyka drzwi i czeka, aż kroki Valerie oddalą się. Czas ucieka, a tyle jest do zrobienia. Najważniejsze, to wrócić do domu. Tu, na wydziale Williama, jest zbyt wiele osób. Valerie, koledzy. Biuro Malkolma jest tuż obok. Gdyby zaczęła krzyczeć, natychmiast by przybiegł.

Na podłodze leżą przygotowane pudła. WYRZUCIĆ pisze pośpiesznie na kartonowych pudłach czarnym mazakiem pozostawiającym po sobie ostry odór rozpuszczalnika. Opróżnia do pudeł zawartość szuflad, wsypując wszystko, co w nich znajduje. Spinacze do papieru, długopisy i ołówki uderzają o kartonowe ściany. Pineski, nożyczki, zwoje taśmy klejącej. Otwiera kolejne szuflady wypełnione papierami. Opróżnia je do przygotowanych pudeł, garść po garści.

Wkrótce na biurku Williama pozostają tylko dwie fotografie i listy Urszuli. Anna wkłada listy i zdjęcie Julii do koperty i wpycha ją do torebki. Jej własna podobizna na drugiej fotografii denerwuje ją fałszywym wyrazem samozadowolenia, naiwną pewnością siebie.

Pamięta jak kochali się tu, w tym pokoju. Tuż za drzwiami. Kilka tygodni po ślubie, po wycieczce na Barbados, gdzie po raz pierwszy w życiu widziała palmy, gdzie po raz pierwszy kosztowała wilgotne, mięsiste kęsy papai. Wbiegła do tego biura by się z nim zobaczyć, z zaróżowioną twarzą, głosem pełnym podekscytowania.—Kochany, chcę Ci coś pokazać—powiedziała. Już nawet nie pamięta, co to było. Pamięta tylko, jakże teraz boleśnie, że wstał i zamknął za nią drzwi. Na klucz. —A ja chcę Ciebie—powiedział. Przyciągnął ją ku sobie, jego ręka wędrowała po jej plecach. Przycisnął ją mocno do drzwi i pocałował. Przez chwilę, zanim zamknęła oczy, spojrzała na siebie samą na tej właśnie fotografii, przyglądającą się im w tym właśnie momencie, pewną siebie, szczęśliwą. Czy w tamtej chwili William także myślał o Urszuli?



Ratusz we Wrocławiu, ruiny.

Tekst ukazał się w „Liście oceanicznym” - dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto w 2003 r.

„Konieczne kłamstwa” w polskiej wersji językowej ukazały się w wydawnictwie Twój Styl w 2004 r.